

Polskie życie pewnej Rosjanki

Napisano dnia: 2014-03-11 08:48:42

MIEDZYLESIE. W metryce ma Katarzyna, bo takie imię nadał jej pop, ale że ojcu kojarzyło się z carycą, więc mówiono na nią Walentyna. Z domu Kriwosiejew. Młodziutka Wala o wyjątkowej urodzie miała marzenia - jak każdy, ale czy myślała, że za kilka lat znajdzie się gdzieś pod czechosłowacką granicą, że będzie zarabiać na życie przenosząc boczek w plecaku? Niejeden życiorys pokazał, że tak naprawdę to do końca nie wiemy, gdzie rzuci nas los, jakich wyborów sami dokonamy, jaką walkę stoczymy tylko po to, by przeżyć...



Walentyna Słomińska z synową Teresą i synem Tadeuszem

Do pokoju wchodzi uśmiechnięta, we fryzurze jakby wróciła od fryzjera. Szybko zawiązuje się rozmowa na temat kobiecej urody i jej - powiedzmy - „konserwacji”.

- *Żadnego pudru - nigdy, czasami usta można podmalować, no i krem na twarz - Nivea. Nic więcej - mówi poważnie Walentyna Katarzyna Słomińska, z domu Kriwosiejew. Ale okazuje się, że to nie wszystko: - Nie paliłam, wódki nie piłam, czasami - przy okazji - kieliszek koniaczku. W domu dużo twarogu jedliśmy, ryb. „Na kartoszkach i rybach wychowana jestem” - zawsze mówię do synowej - śmieje się.*

Dostojna starsza pani. Może i jak caryca? Gdyby syn, Tadeusz Słomiński (najstarszy z pięciorga dzieci), nie powiedział, że 15 marca mama skończy 90 lat... Zadbana, od niedawna ma problemy ze słuchem, za to pamięć znakomitą i pięknie opowiada o swoim życiu. Znając jej historię, synowa - Teresa Słomińska - słusznie zauważa: takich twardych ludzi już nie ma. Z Rosji Do Niemiec...

Był rok 1942. Osiemnastoletnia wówczas Wala z rodzinnego Kurska zostaje wywieziona na roboty do Niemiec. Trafia do Rastatt - do fabryki produkcji samolotów.

- *My jako niewolnicy byli - mówi z rosyjskim akcentem. - Nie znaliśmy języka niemieckiego, w barakach potrójne łóżka, praca dwanaście godzin dziennie, na koniec 25 dag chleba i „gemusesupe” - wspomina nie mogąc powstrzymać łez.*

Wojna się kończyła. Trafiła do innego regionu Niemiec, m.in. pracowała w szpitalu przy praniu i zwijaniu bandaży... Tam gdzieś w pobliżu byli Polacy. Trudno było jej z nimi się porozumieć, bo języka nie знаła, ale Słomiński pochodził z Tarnopola, blisko Ukraińców mieszkał, więc po rosyjsku więcej rozumiał niż inni i zagadnął piękną Rosjankę...

- *Można było jechać do USA, Kanady - wszędzie. Ale mąż mówi: „Nie pojedę tam lasy karczować, dość w Niemczech się napracowałem. Jadę do swojego domu - Tarnopola” - wspomina pani Walentyna.*

Ona myślała, że to dobrze, bo przecież bliżej granicy ZSRR, odwiedzi swoich rodziców... Przyjechali, ale na ziemię odzyskane. Pierwsza polska stacja, obóz repatriacyjny - Międzylesie stało się ich domem.



Niemcy, więźniarki przed barakiem

... z Niemiec do Polski

Do Międzyzylesia przyjechali w kwietniu 1946 roku wraz z kilkumiesięcznym synkiem, Tadeuszem. Wielu zatrzymywało się tu na chwilę, stąd udawali się dalej. Oni nie mieli gdzie jechać. Baraki dla repatriantów na stacji kolejowej chcieli jak najszybciej opuścić, więc zaczęli szukać jakiegoś lokum, a właściwie to pani Walentyna, bo mąż w tym czasie wyjechał do Wrocławia za pracę.

Sama z małym synem, wśród obcych ludzi, po polsku trochę rozumiała, ale nie mówiła, bez grosza w kieszeni, bo ostatnie pieniądze dała mężowi na drogę. – Kiedy wyjeżdżał, pyta się mnie: „A jak ty sobie poradzisz?”. Poradzę – odparłam.

O jakieś wolne mieszkanie zapytała Niemca, na którego natknęła się na ulicy. – „Nie w Międzyzylesiu; tu wszystko już zajęte” – odparł mi. – Ale w Lesicy...

Nieznajomy-znajomy przyjechał po nią dzień później. Pomógł w przeprowadzce; na wóz zapakowała cały swój „dobytek” i pojechali.

Przez Orlicę z boczkiem na plecach

W Lesicy nie wiedziała, gdzie się udać, więc pierwsze kroki skierowała do żołnierza. – Pytam go, gdzie mogę kupić chleb... Wytłumaczył, trochę na migi, ale sumiennie tak, że trafiła. Tu dostała bochenek i dwie bułki... Z drugiej strony rzeki słyszy, jak jakaś kobieta macha do niej i woła po niemiecku.

– Pyta mnie, czy u nas są boczki, szynki... Ja jej mówię, że u nas jest wszystko – w Międzyzylesiu były wtedy cztery masarnie – tylko że ja nie mam pieniędzy... A usłyszał to człowiek, który przed chwilą dał mi chleb, i biegnie do mnie. Wystraszyłam się, że chce mi go teraz zabrać, a on wyciąga z marynarki 500 zł i mówi: „Masz pieniądze i jedź do Międzyzylesia...”

Pojechała i zrobiła zakupy, o jakich wcześniej nawet nie śniła, ale też myślała na przyszłość. – Kupiłam boczki, szynki... Wszystkiego za 450 zł, a 50 zł zostawiłam sobie. Myślę, jak to przewieźć, przecież wojsko stoi. Pomyślą, że jakiś spekulant ze mnie, a to nie tak – śmieje się. – Wzięłam wózek, naładowałam, na to Tadeusz położył i idę. Żołnierz tylko pyta: Dokąd? Po chleb – odpowiadam.

Tak dostała do mężczyzny, od którego dostała najpierw chleb, potem pieniądze. Tu kolejne zadanie.

– Zaczęliśmy to wszystko wkładać do plecaka, a potem mówi: „Chodź”. Patrzę, a on prowadzi mnie do rzeki, w wodzie olbrzymie białe kamienie. „Czy pływać umie?” – „Da” – odpowiadam. Zrzucaj buty, a teraz bierz plecak, sukienka do góry i po kamieniach na drugą stronę.

Na brzegu Orlicy, wówczas po czechosłowackiej stronie, czekała wcześniej poznana kobieta. – Oddałam jej to, a ona daje mi drugi plecak. Nie wiedziałam, co tam jest... W plecaku było to, czego wówczas w Polsce brakowało – tkaniny oraz zamki błyskawiczne. – „Jedź do Kłodzka, sprzedasz to” – mówi mi.

Dam sobie radę!

W Kłodzku ubiła interes z krawcem. Od razu poznał, że jest Rosjanką. On był rosyjskim Żydem. Dostała 25 tys. zł! – Jeszcze nie raz zostawiałam Tadeusza pod ich opieką (mężczyzny, który dał jej chleb i pieniądze, i jego żony – przyp. red.). Pojechałam, nakupiłam, przypilnowałam, gdzie była „czujka”... Przy zmianie warty zawsze było łatwiej przejść... – śmieje się pani Walentyna. – A męża nie było. Czekałam. „Ale mnie Polak zrobił – myślałam. – Ale dam sobie radę”.

Mąż przez dwa miesiące nie dawał znaku życia. Przyjechał pewnej nocy. – Chudy taki, że jak go zobaczyłam, to się płakać chciało. Przywiózł owoców i daje mi 14 tys. zł. „Oszczędzałem” – mówi. – „Dobrze, Wołodia” – odpowiedziałam mu tylko... – wspomina. Ile sama zarobiła na „interesach przez

Orlicę”, mężowi powiedziała dopiero wtedy, kiedy znów chciał jechać do Wrocławia.

- „Nie” - mówię mu. - „A z czego będziemy żyć?” - pyta. - „Poradzimy sobie” - mówię. W końcu, kiedy tak się upierał, wyciągam pieniądze i mówię: „Patrz - 25 tys. zł!”.

Oniemiał, ze zdziwienia nie mógł słowa wydusić. - Skąd? - A ja mu żart: „Zobacz, ile tu żołnierzy jest”... Pomyślał, że mu się baba puściła - śmieje się pani Walentyna.

Kiedy wszystko się wyjaśniło, mąż skwitował tylko, jak mogłoby się to dla wszystkich źle skończyć, gdyby żołnierze ją przyłapali. Nie przyłapali.

Jak niewiele trzeba, by żyć...

Kiedy w 1942 roku Waleria Słomińska opuściła dom rodzinny, z matką i siostrami spotkała się tylko raz - w 1956 roku. Odwiedziła ich wraz z kilkuletnią córką.

- Mama namawiała mnie, żebym została - wspomina. - „Mama, ja mam trzech synów w Polsce! Nie zostanę! - odpowiadam.

Po miesiącu wróciła, w międzyczasie przysłała mężowi motocykl, i resztę życia związała z Polską. Rosyjska rodzina nigdy jej nie odwiedziła. W Lesicy krótko mieszkali w „chatce”, gdy się tu sama z maleńkim synem znalazła. Aż wierzyć się nie chce, że wystarczyło tak niewiele, by zacząć jakoś żyć...

W domu pierwsze kroki skierowała do kuchni. Był piec z wbudowanym kociołkiem na wodę. Wody przyniosła ze strumyka, ale napalić w piecu było trudno, bo drzwiczki się nie zamykały. Wówczas przypomniała sobie, jak to jej dziadek wyplatał coś z wikliny i oklejał gliną, aby się trzymało. - Koło rzeki łopatą wykopałam glinę, wygniotłam, zrobiłam wałek, okleiłam - drzwiczki się trzymają. W piecu napaliłam, woda się zagrzała, wtedy zaczęłam sprzątać... - wspomina.

Najbardziej niezbędne meble w domu pomogli zgromadzić sąsiedzi, kiedy się dowiedzieli, że za krzesło służy jakiś pniak. Z czasem w Lesicy znaleźli inne siedlisko, gdzie był już sad i stajnia, a więc mieli owoce i można było mieć jakiś inwentarz. W 1952 r. przenieśli się do Międzylesia.

Mąż zarabiał na życie jako krawiec - nawet suknie ślubne szył, jako stolarz, potem pracował w domu dziecka. Żona hodowała kury i kaczki, miała też krowę, więc sprzedawała masło, śmietanę i tak dorabiała do domowego budżetu. Przez wiele lat wspólnie zajmowali się też ogrodnictwem.

- Mąż nie odróżniał kapusty od kalafiora. Musiałam go wszystkiego uczyć, literalnie pisałam, jakie nasiona ma kupić - śmieje się pani Wala, która z kolei przed wojną uczyła się w szkole rolniczo-ogrodniczej i miała wyjątkowo dobrą rękę.

Na zakończenie

- W swoim domu, w swojej rodzinie, w swoim kraju jest lepiej niż za granicą. A jak człowiek nie zna jeszcze języka, to jest bardzo trudne życie - gdzie nie pójdziesz, każdy źle się patrzy. Jak chodziłam na zakupy - to opluwali, bo to Ruska. Myślałam: po co mi to było... Wśród wspomnień wielu radosnych chwil, jakie przeżyła, i taka refleksja dziś jej się nasuwa.

Polskie kobiety nie lubiły jej, źle na nią patrzyły, jak tak pracowała, czasami wulgarnie komentowały... - A ja chciałam mieć swój dom, pieniądze, nikogo o nic nie prosić...

Na starych fotografiach widać, że Walentyna Katarzyna Słomińska była kobietą wyjątkowej urody. I nawet teraz, kiedy lada dzień skończy 90 lat, kiedy młodość minęła, zdrowie już nie takie jak dawniej,

ale wewnętrzne piękno, gładkie policzki i życiorys na książkę zostały. Zwyczajne-niezwykające życie Rosjanki w Polsce pod czeską granicą.

Małgorzata Matusz